

FILOMATES № 5

TREŚĆ :



Kraków
15. II. 1906.



ZDRADA.

(dokończenie.)

Tak przywiązanemu zdało się, iż słyszy jęki i płacz mordowanych w jego rodzinnem mieście.

Wkrótce niebo się wypogodziło, a na wschodzie poczęło świtać.

Zdrajca przemokniety zupełnie ujrzał teraz nad nad miastem wielką i krwawą łunę.

Wyrzuty sumienia nie dały mu spokoju. Jeszcze kilka godzin stał tak przywiązany do drzewa. W końcu gdy polankę złote oblewały promienie słońca, zebrał wszystkie siły w sobie i szarpnął się. Powrozy pękły, a on upadł na ziemię, gdyż nogi miał zupełnie zdrętwiałe. Po niejakiej chwili zdołał powstać i chwiejnym krokiem udał się w kierunku miasta.

Gdy wyszedł z boru ujrzał miasto całe w gruzach, a w niektórych miejscach dogasające jeszcze zgliszcza.

Patrzał przez chwilę na skutki swej zdrady, potem zawrócił, poszedł. A gdy szedł koło boru, bór zdawał się mówić ponuro: „To zdrajca", a gdy przechodził przez łąkę, wszystkie trawki i kwiaty szeptały cicho: „to zdrajca". Chciał uciec od tych głosów, ale wszędzie go ścigały. – Przybył nad rzekę, a ta zdała się mówić: „idź precz zdrajco. Tak trapiony wyrzutami sumienia, głodny, zmarznięty dowlókł się na jakąś łąkę i padł, by nie powstać więcej.

Doremi.

Od Redakcyi.

Nagrodę za rozwiązanie zagadki w N: 4. otrzymał — przez losowanie Kolega Pawlas. —

PECH.

Rozdział I.

Tumany kurzu podniosły się na drodze wiodącej do miasteczka N.. Bryka, licząca może tyle lat co i jej właściciel pędził dość młody pan, wołając co chwila na swego furmana, aby popędzał konie. Podróżny, o miłej powierzchowności, odziany w palto i owinięty szalem, wystawił tylko koniec nosa i dwoje oczu na działanie chłodnego powietrza i ustawicznie niecierpliwił się i uskarżał na zbyt wolną jazdę. Na koźle, a właściwie na hamaku sporządzonym z koca i siana siedział chłopiec może 16to letni, służący u swego pana za furmana i lokaja, a czasem nawet za kuchcika. Wesoło pogwizdywał sobie jakąś aryę, zasłyszanej gdzieś piosenki. Wtem na środku drogi pękła pod pudłem wozu oś, a z bryki wysypał się nieflegmatyz-nie flegmatyczny pan Jan. Podczas gdy ten zabierał się jęcząc i przeklinając do wstawania, już furman zlazł z kozła i przyglądając się z ubolewaniem leżącemu swemu panu mruczał pocichu przeklinając się, konie, brykę, a nawet pana Jana. — Gdy się już pan Jan pozbierał począł troskliwie opatrywać swe ubranie, które znajdowało się w pożałowania godnym stanie. Furman nie przestawał narzekać i przeklinać co znów gniewało nadzwyczajnie pana Jana, który nie nie mogąc znieść dłużej utyskiwań swego sługi zawołał: —

Możebyś już przestał „tego”, mruczeć gamoniu jeden a raźniej, tego, zabrał się do naprawy osi. Niby to przed odjazdem

nie mogłeś, tego, oglądnąć wszystkie osie u wozu i zachować większą, tego, ostrożność w kierowaniu końmi i nie popędzać je zbytecznie. — — Kiedy jak P. Boga i Najś. Panienkę kocham to już z panem do jakiegoś porozumienia człek nie dojdzie. Sam pan kazał mi, bym konie co chwila popędzał i gniewał się na mnie gdym koniom pofolgował a teraz...

— Oj nie narodziłbyś gamoniu, tego, i zabrałbyś się lepiej do naprawy osi, bo wkrótce i zmierzch nadejdzie nadejdzie, a do miasteczka z jakie 1½ mili. — Po tych słowach pan Jan poszedł poszukać swego kapelusza, który w swym niefortunnym przypadku gdzieś zagubił. Znalazł go po długim szukaniu w rowie obwalanego zupełnie żółtą gliną. —

„Dziś mi się szczególnie jakoś, tego, wiedzie — mruczał do siebie pan Jan, ocierając i trzepiąc jak mógł swój nowiuteńki kapelusz, który teraz wyglądał jakby rdzą obsiadły. — Żeby tu choć był gdzie potok, możeby dał się ten kapelusz naprawić. —

Tak rozmyślając zabrał się do szukania potoku, zaleciwszy wpierw Jaśkowi, aby przez ten czas zwijał się prędko i naprawił oś złamaną. Wkrótce poszukiwania p. Jana zostały uwieńczone pomyślnym skutkiem. Jakoż znalazła się woda, jakkolwiek niebardzo czysta, jednak postanowił p. Jan w niej odświeżyć swój rdzawo-żółty kapelusz. Zanurzył więc kapelusz raz i drugi we wodę i nacierał go mydłem (miał bowiem mydło zawsze w kieszeni) dopóty, dopóki nie pokrył się cały pianą. Wtedy zanurzył go p. Jan po raz ostatni we wodę, a wyjąwszy go zaczął nim trzepać i wymachiwać we wszystkich kierunkach, aby przyspieszyć jego suszenie. Skutek jednak był taki, że kapelusz zaczął przybierać coraz to nowe kształty i formy i wkrótce z okrągłego przemienił się w elipsę.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

DO LUDU WARSZAWSKIEGO.

Panie! Ty widzisz, jak tam krew się leje,
Panie! Ty słyszysz płacz żon i krzyk dzieci,
Panie! północnych carów tron się chwieje,
Na wschodzie jutrznia swobody świeci.

Lecz to jest wolność?! Krew pokryła ziemię,
Łzy - płacze - jęki - przed Twe serce płyną
Panie! choć z krwi jest dzisiaj nasze pokolenie,
Ale się zlituj niech marnie nie giną!

Nazwem ich wolność - a jaką wróg daje
Dał nam i nawet synom ziemi swojej?
On Panie Twoją przeinacza wolę
I śmie tak nazwać wszech potędze Twojej?
Boś Ty rozkazał, by każdy był bratem
A on był ludom, jest i chce być katem!

Padają ludzie i rośnie mogiła
Tych co za świętą sprawę wszystkich giną
I ona do Cię swe modły zasyła
Zlituj na naszą się i ich krainą!

Tysiące padły, lecz ten tysiąc ludzi
Nowe miliony bohaterów rodzi
I, wiary zapał do wolności nie strudzi
Lecz nowe czyny, nowe trupy płodzi.

Patrzcie! i oto na z krwi tez sztandarach
Śmierć wypisana czerwonymi słowy

Niech giną cary! i już jest po parach
I lud im śpiewa marsz - marsz pogrzebowy.

„Nasz sztandar, obala trony
„Bo gołe trony same wymieciły,
„Bo za nim idą rycerzy miliony,
„A za tłumami wzrastają mogiły
„A więc precz z carem - niechaj wolność słynie,
„A kto przeciw niej, ten w tej walce zginie!

I idą tłumy idą rozśpiewane
Idą rycerze szlachetnych idei
A z tego tłumu z tych czynów zawiei
Sztandary nasze płyną niewone.

Ach! nasze orły - anioły - pogonie!
Polsko! ta chwila czynie zmartwychwstanie,
Widziałaś takie święto po swym zgonie,
Słyszałaś takie serc ludzkich śpiewanie?
Czy czułaś w sobie, kiedy siłę ducha,
Jak w tenczas, kiedy cały lud Warszawy
Wyrwał się znowu z pod kajdan łańcucha
Wrogom swoim rzucił hymn ten krwawy?

Śpiewają usta, z radości drżą serca
A śpiew legionów pod niebiosy płynie,
Bo giną mieczmy Twych dzieci morderca.
Polsko - a sława Twa nigdy nie zginie!

Panie! Ty Który w tenczas w tłumach byłeś
Wierz, jak te serca z radości płakały

/.

Wiesz jak ich duchy z zapałem pałały,
Bo tak wysoko Tyś nam je wznosił,
Że wyleciały w górę do wieczności,
Gdy bohaterów swych wieńce dobyły
I krew tak wschodniej zaniosły ludzkości!

Ale Ty, każdą kroplę męczeńskiej krwi Panie
Ty policzyłeś - i te łzy - te płacze
Te mogiły ludu - te żebracze
I bliskie teraz nasze zmartwychwstanie!

Boże, co Polskę przez tak długie wieki
Miałeś w opiece, nie puścisz z opieki
Tak by znowu białe orły nasze
Z krwi naszej gniazdo ulepiły zasze!
Daj, że na białych czerwonych sztandarach,
Na tych dziecięcych dawnej chwały marach
Polska się zbudzi i duchami prządzie
Będzie - i czyny wrogów swoich rządzić.

Panie! Ty który masz imię Miłości
Nim Cię prosimy - błagamy w krwi naszej,
Daj wolność całej cierpiącej ludzkości
I męczeńskiej tej Ojczyźnie naszej!

I płynie pochód w pieśniach ludzi tłumy
I pieśń legionów płynie pod niebiosa
I orzeł wstaje z swej piekielnej trumny,
Nawet i kwiatowie świeci dzisiaj rosa.

Lirnik

(Dok. nastąpi)

Wieczór Bożego Narodzenia

Wśród puszystej zamieci śnieżnej pod Wilię Bożego Narodzenia, wieczorem dążyła do wsi niedalekiej otulona w chustę wełnianą jakaś postać kobieca. Szła powoli, pochylona pod ciężarem drzewka, które wzięła z pobliskiego lasu. Trudno jej było przebijać się wśród zasp śnieżnych a także z trudem mogła utrzymać się na właściwej drodze.

Niosła ona małemu synkowi, któremu chciała w Wigilię przygotować [illegible] niespodziankę swojej dość biednej dziatwie.

Szła coraz powolniej, a częściej przystawając i z trwogą patrząc na iskrzące się tysiącami gwiazd niebo. Myśli toczyły jej się w głowie i coraz inny przedstawiały obraz. — Stanęła. Śnieg padał ciągle. Postawiła drzewko, aby sobie ulżyć, a sama przy niem stojąc, odpoczywała. Teraz mogła puścić wodze swym myślom.

— Jeżeli ma drzewko, musi je czemś ubrać, bo nagie drzewko nie postawi dzieciom. Ale cóż, kiedy prawie wszystek gorzko przez siebie zapracowany i uskładany grosz wydała dla dzieci na zimowe ubrania, a i buty trzeba było sprawić przedtem. „Tylko sobie nic!" — mówi [illegible] jej coś w duszy. „Tak, sobie nic nie sprawiła, ale czyż mogła siebie ubierać, a dzieciom kazać iść do drugiej izby na naukę w letnich ubraniach? Nie! czegoś podobnego by [illegible] nie mogła uczynić. — Znów myśli [illegible] Zobaczyła oczyma duszy

staneczkę ubogą, w niej drzewko Boże ozdobio-
ne i oświecone. Przy niem kręciła się gromadka
dzieci, z rozjaśnionemi śmiechem twarzyczka-
mi. A każde z nich coś trzymało w ręce, to bębenek
mały, to trąbkę, to znów co innego, tak że żadne
nie stało z próżnemi rękoma. Tylko jej nikt nic nie
darował! Ale od kogoż mogła się spodziewać czegoś
podobnego.

Tymczasem, czas sobie szedł prędko.

Ciemno już było w [illegible] zupełnie.

Wzięła jej drzewko na ramiona i ruszyła dalej. Ale
nie daleko uszedłszy, zmęczona znowu przystanęła.
Znowu postawiła drzewko na ziemi, dysząc ciężko...
Wyobraźnia jej wnet stawiła jej obraz przed oczy.
Widzi chatkę ubogą, stoi stół zastawiony skromną wieczerzą,
a przy niem dziatwa się uwija. Ona stoi przy stole i
każdemu czegoś życzy z opłatkiem w ręku, każde nie-
mniejszy kawałek opłatka wręcz jej całuje dziękując za
życzenia.

Tak zawsze bywało u niej w święta Bożego Narodzenia.
Ale znowu się spostrzegła, że za długo przetrzymała swój
odpoczynek. Więc wzięła drzewko, ruszyła dalej ku wid-
nej zdala wsi.

Jednakże siły coraz bardziej ją opuszczały. Już nie mogła
nawet ustać na nogach. Złożyła więc drzewko na śniegu
i ubiwszy go sobie nogami, przy niem usiadła.

A myśli świeżym strumieniem płynące, nowy jej
jej obraz odmalowały.

/Dokończenie — — nastąpi/

napisał
Ab-be

Obrazy natury w Panu Tadeuszu.

(C. d.)

Część II.

Przenieśmy wzrok na ziemię, na krajobrazy te, których głównym przedmiotem są mieszkania ludzi. Pierwszym z nich jest widok domu sędziego. Stał dwór szlachecki z drzewa, lecz podmurowany, na szerokiem tle pól świeci białemi ścianami wśród zielonych brzóz i topoli. Drugim krajobrazem jest widok zamku.

Przedstawiony on z bliska, ale w oświetleniu wschodzącego słońca, które jego stare szyby gorejącem słońcem oblewa, i niezwyczajnie ozdobiony mgłą, do połowy go opasującą. Trzeci krajobraz - to widok Maćkowego dworu. Widzimy w strzechach gołębniki, w oknach gniazda jaskółcze, widzimy znaki szabel na klamkach, ćwiekach i hakach, ściany upstrzone od kul, wiemy nawet co się dzieje w kuchni i stajni. Cały dwór nie jest oświetlony promieniami; widać wszędzie ubóstwo i zapuszczenie; brama bez wrót, ogrody bez płota, niezasiane na grzędach brzózki i chwasty; - Czwartym krajobrazem jest obraz karczmy soplicowskiej.(?) Jest najoryginalniejszy ze wszystkich pokrewnych treścią obrazów. Traktowany on w sposób humorystyczny. Krzywa to cała budowla podobna do żyda kiwającego się podczas modlitwy. Dach ma jak czapkę, lub rozstrzępioną brodę strzelca. Każdy z tych czterech obrazów mieszkań uwydatnia jakąś cechę warstwy społecznej, do której się odnosi. Zamek wspaniałość i potęgę dawnych magnatów; dwór Soplicy: gościnność i dobrobyt szlachty drobnej; zaścianek: nieład i ubóstwo szlachty chodaczkowej; karczma - zdziczenie moralne. Jasna postać Jankiela na tle tej chaty jest jednym z kontrastów rzeczywistości. Przechodzimy do ogrodów: Mamy ogródek Zosi, na który patrzy Tadeusz przez otwarte okno na ogród wychodzące. Patrzymy z bliska tak, że widzimy iż kwiaty świeżo polewane

a na piasku lekki ślad nóżki Zosi.

Drobny to krajobraz, opisany zdrobniałemi wyrazami jak „maleńki ogródek", drobny płotek", grządki", „drzwiczki" ślad nóżki na piasku", „nóżka była bez pończoszki".

Mały ten obrazek oświetlony ukośnymi promieniami słońca nad zachodem, jest bardzo piękny.

Słońca nie widzimy, ale podniósłszy wraz z Tadeuszem oczy, dostrzegamy je na twarzy i włosach Zosi, siedzącej na parkanie, która jest prawdziwem słońcem tego małego krajobrazu.

Q. d. n.

Pobudka.

(Wiesław).

Hej! Narodzie! do oręża
Czyż się nie czas zbudzić ze snu
Wszakże Polak musi zwyciężać
Albo za kraj polegać tu!

Lecz cóż zrobić z tem żelazem
Do nauki bracie leć!
Potem krzykniem wszyscy razem
Leć nasz orle, górą leć!

I polski orzeł górą!
I z nas łańcuch zrywać będzie
Hej, ty Moskwo! hańby córo,
Patrz, jak Polak słynie wszędzie.

Hej, ty Moskwo, Austryo, Niemcy
Drżyjcie cary i tyrany!
Nie zgnębicie Polski więcej!
Oswobodzon kraj kochany!

Już nie straszą wasze groźby
Już się Polak z tych groźb śmieje
Bo już dla was Polak groźny!
Bo już wiatr Wolności wieje!

Więc Narodzie! do oręża
Zgniećmy razem przemoc tą,
Polak zawsze tam zwycięża,
Gdzie o Polskę idzie rzą!

Koniec.



Ⱦ.

Szkice z podróży

II.

Bośniacy.

Niewiele ludów europejskich zachowało dotąd swe pierwotne zwyczaje i wierzenia. Do tych to ludów można zaliczyć Bośniaków. Zostając przez tyle wieków pod wpływem i rządami nieoświeconych prawie Turków, przejęli się ich orjentalną kulturą na wskroś i dotąd ją jeszcze zachowali. I nic dziw. Zamknięci w swych górach i niedostępnych prawie borach nie dopuszczają do siebie kultury europejskiej. Ludność Bośnii składa się wyłącznie z Słowian, lecz dzieli się na potomków zaprzańców wiary ojczystej za czasów podboju tureckiego i z właściwych Chorwatów.

Turcy, jak ich nazywać będziemy, są podejrzliwi, zgryźliwi, tajemni, zamknięci w sobie, a nie znoszą „Švabów", jak wszystkich obcych nazywają. Oni to przeważnie usiłują zerwać ze światem wszystkie stosunki, wychylając się tylko ze swego odosobnienia, aby sprzedać w miastach lub wsiach surowe produkta przez siebie zbierane.

Chorwaci natomiast są ludem spokojnym, dobrodusznym, łatwowiernym i otwartym. Zamieszkują zazwyczaj doliny i drobne osady a zarabiają na życie w fabrykach młynach, kuźniach etc.

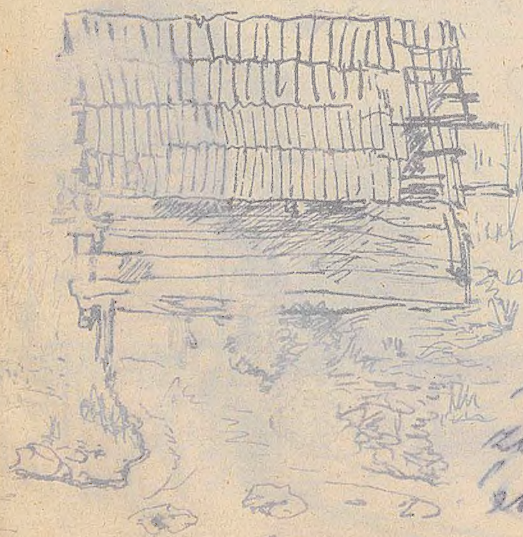
Zacznijmy zatem od wyprawy Turka do miasta.
Objuczą on swe muły, których każdy Turek ma kilkadziesiąt sztuk, materyałem sprzedawczym zabierając nierzadko rewolwer lub niebezpieczniejszy jeszcze nóż krzywy

Opuszczony szałas pasterski

mającym mu służyć już to do obrony, już to do zaczepki i kłótni. Muły postępują powoli za prowadzonym na przedzie towarzyszem. Marsz dzienny przerywa tylko czas modlitw i śpiewów nakazanych przez rytuał mahometański. Dzień upływa jednostajnie i nudno, gdyż Turek patrzy tylko na łeb konia a myśli o sprzedaży. Na noc staje w opuszczonym szałasie pasterskim lub pod gołem niebem. Rozkłada zazwyczaj ognisko i śpiewa dzikie wojenne pieśni przeplatane czasem smutnemi dumkami i tak spędza noc całą strzegąc swojej karawany. W ten sposób odbywa drogę na górze. Łatwiej i weselej idzie mu drogą po gościńcu. Może już współplemieńcowi swemu wpakować kulę w łeb, lub utopić nóż w piersiach, może go to nawet samego spotkać. Lecz cóż? Dusza „wiernego" zmarłego w walce, idzie do raju – jak mówi Koran.

Czem u nas były a może i są na kresach gospody, tem są w Bośnii kafany czyli kawiarnie. Są one tu wprost niezbędne, a zwłaszcza w Bośnii południowej, gdzie osady są odległe od siebie czasem i o 50 km. Tam staje Turek na noc, tam styka się z światem, tam siedzi godzinami popijając kawę (gdyż wódki nie może) paląc fajkę, patrząc w ogień, gawędząc, drzemiąc, a wreszcie tańcząc przy dźwiękach tamburicy. Tak odbywa drogę całą, tak styka się z ludźmi kilka razy do lata, wożąc drzewo, żelazo, węgiel drzewny i t. d. Właścicielom kafany uiszcza zapłatę w płodach natury.

Młyn bośniacki:



Wypada też wspomnieć o młynach bośniackich. Jest on poruszany nie bezpośrednio przez wodę, lecz woda pada na koła z wąskiego drewnianego koryta. Z takim młynem zazwyczaj jest połączony piec do wypalenia wapna i cegieł. (O.D.N.)

PRAGNIENIA

Sonet.
Z cyklu „Widzenia duszy".
napisał Abgard-Halim.

Cisza – kołysze zefir do snu świat marzący,
I w przestrzeń pustą rzuca echo dni szczęśliwych,
Uroczych złudzeń, czarów, szeptów, wyznań tkliwych
Szmerów wód. I niknie dalej, cichy i milczący.

Cisza – słowików pienia ponad światem płyną,
W kaskadach różnogłosych lecą ciche, smętne,
Marzące, żądne ciszy, wielkie choć posępne,
I nieme pełne czaru w ciszy nocnej giną.

Świat śpi i wieniec marzeń ze snem szybko pryska,
Widziadła nikną, a z nimi radość, cicha pienia,
W ciemnościach tylko krwawy ogień serca błyska.

Świat śpi – w ciemnościach nocy niknie ból cierpienia,
Ma dusza ciągle czuwa, usta chcą czuć z bliska
Anioła; i z nich czerpać wiecznie czar marzenia.



Karol Ercé.

Za naszą wolność i waszą.

Rodakom moim, bohaterom, męczennikom idei, niegodny poświęcam tę pracę.

W koszarach od północy zaczął się dziwny ruch. Jakaś wieść radosna doszła do pułku. Pobudzono sałdatów, kazano się im cieszyć i krzyczeć na cześć cara-batiuszki. Posłuszna masa czyniła, co wyżsi kazali, cieszyła się, krzyczała....

„Ale za co my mu dziękujemy?" pytano w szeregach. Pułk był moskiewski, moskala też miał za pułkownika.

Tak doczekano rana.

Żołnierze w pełnym rynsztunku wyszli na podwórze koszarni, wyszli w ciszy z ciekawemi twarzami, oczekujący z trwogą każdej chwili przyszłej. I nagle zjawił się pułkownik, w uniformie kapiącym od złota, z promieniami radości w oczach.

Stanął przed szeregami i donośnym głosem zawołał „Bracia"

W szeregach rozległ się szept. Powtarzano to słowo z ust do ust. „Słyszycie on nam dziś mówi „bracia"" „Słyszycie co on mówi".

A pułkownik dalej mówił: „Bracia, oto miłościwie panujący nam car Mikołaj II, udzielił nam Konstytucyi. Wolno mówić jak komu serce wskazuje, wolno czytać książki zakazane. Słyszycie dzieci.– I Lachy cieszą się dziś. I oni dziękują batiuszce carowi za łaskę. I my dziś także podziękujemy carowi-batiuszce za tę miłość batiuszki dla swych żołnierzy, pójdziemy do cerkwi złożyć hołd świętemu Andrzejowi, świętemu Michałowi.....

I rozkołysał się pułk cały, z piersi więzionych od kolebki wyrwał się pierwszy raz szczerze śpiewany: „Boże cara chrani".

Z pieśnią na ustach wyszedł pułk z koszarów.

Daleko przecież jeszcze do miasta, tu im w polu śpiewać wolno.

Przeszli most na Wiśle, weszli do miasta.

Na ulicach pustki.

Cóż to? Czemuż Lachy w domach siedzą.

– Może zdradę knują.

– Tak dziękują batiuszce za łaskę.

Idą przez ulicę, tylko huk bębnów odbija się od ścian domów.

Na czele pułku na białym koniu jedzie sam pułkownik.

Na ulicach pusto.

Słychać tylko miarowy krok żołnierzy. Lecz w miarę zbliżania się do środka miasta, ulice się zaludniały. Tłum wzrasta. Z trudem już przeciskają się przez zbitą masę ludzi. I tak dochodzą do ulicy zwanej Marszałkowską. Lecz dalej iść nie mogą. Tłum płynie przez nią.

Księża, pany, chłopy, rzemieślnicy i studenci, wszystko razem zlane z pieśnią na ustach, niosą krzyże i sztandary dziękując Bogu za odzyskaną wolność.

Lecz słyszycie!

Żołnierze słyszycie!

Gdzieś w oddali zrazu cicho, potem potężnie silnie zabrzmiała pieśń. Żołnierze wy jej nie znacie. Wam tego znać nie było wolno. „Grzmią hucznie dzwony ze Kremla szczytów".

A pieśń coraz się zbliża, coraz silniejsza, potężniejsza, głośniejsza.. A żołnierze bezwiednie podejmowali [illegible] słowa.

Wtem zerwał się dźwięczny, a drżący głos pułkownika

„Słyszycie bracia co oni śpiewają?

A pieśń płynie: „Za waszą wolność i naszą"

„Na kolana, woła pułkownik – na kolana dzieci". Na kolana przed tymi, co wam wolność wywalczyli. Wy dzisiaj ślepi, zakuci w kajdany, jeszcze serca nie macie. Otwórzcie uszy wasze, widzicie ich, to duchy Wolności. I słyszycie, oni chcą wolności dla was i dla siebie." I tłum przystanął, ucichła pieśń. A pułkownik mówił dalej – lecz do tłumu: „Lachy ja się cieszę z wami. Ja już stary. Pamiętam ten rok, w którym zerwał się do wojny z białym carem. Jam wtedy płakał

jak dziecko, bo was kazali mordować. Ja stary płakał, chociem Moskal. Łaski pozwólcie mi wasze dłonie spracowane. Uściśnijcie ręce tych sałdatów, co do was strzelali...

Sołdaci go tłum.

Porwał między siebie, na rękach niósł, ściskał, całował sałdatów moskiewskich i szedł dalej jak rzeka wezbrana rozlana, szedł z pieśnią:

Ze naszą wolność i naszą.....



Wiesław.

Modlitwa wieczorna

Boże święty, błagam Cię, pozwól mi stanąć kiedyś w szeregu obrońców Ojczyzny i zginąć w obronie Jej.
Matko Boża, wspomagaj moje czyste zamiary, dodawaj sił do ich wykonania, a mnie zawsze miej w swojej opiece i ochraniaj od złego. Amen.

Modlitwa poranna.

Dzięki Ci składam, o Boże, że tę noc przespałem szczęśliwie i za to, żeś mi dał widzieć we śnie Moją Matkę Polskę i Orła białego, Pogoń i Michała Archanioła.
Dzięki Ci i za to Boże, żeś mię nie wziął tej nocy do siebie, bo mogę być pomocnym Rodakom wtedy, gdy przyjdzie z orężem w ręku dopominać się o swoje prawa u trzech szatanów. Amen.

Od Redakcyi.

Praca p. t. Obrazy natury w P. Tadeuszu została na życzenie autora wstrzymana.